Nr. 30 Rok 3 Kraków, dnia 26 lipca 1942. 40 gr.

Ilustrowany POLSKI



PODCHWYCONE ZDJĘCIE
NA PLAŻY Fot. Goray

W LASACH I BAGNACH

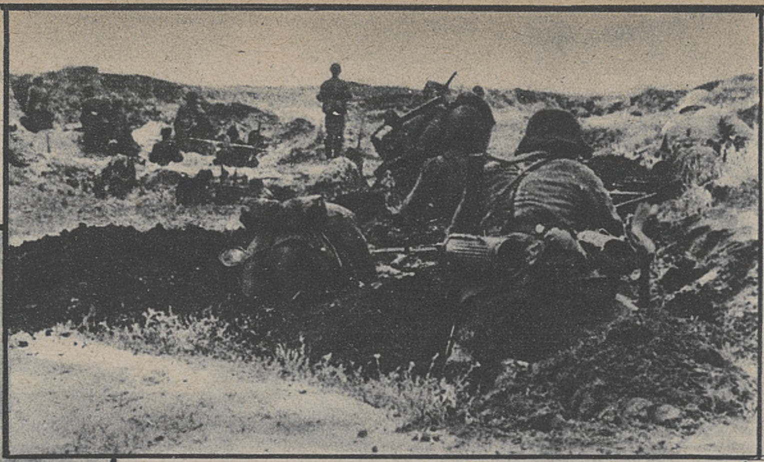


Na lewo:

OKOPAĆ SIĘ! — KONTRATAK BOLSZEWICKI!

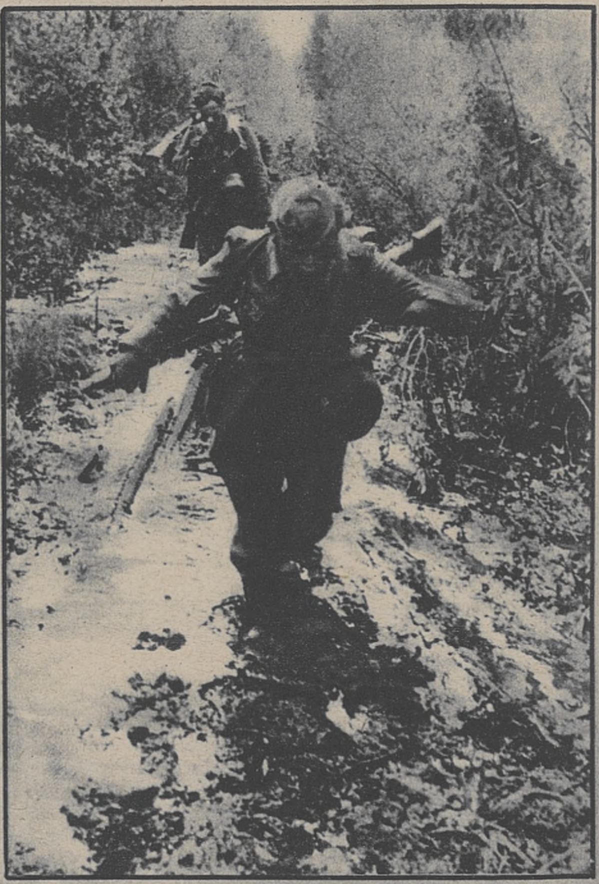
Po przejściu przez Don, posunęli się żołnierze niemieccy wśród zaciętych walk naprzód i utworzyli tam przyczółek mostowy. Na swoich stanowiskach oczekują oni teraz kontrataku bolszewików, którzy napróżno usiłują odbić stracone pozycje.

Fot. Atlantic 2, P. B. Z. 1, SS.-PK. 1, Weltbild 1



OBRAZKI Z TERENU WALK NA FRONCIE PÓŁNOCNYM

Obecnie gdy pod wpływem krótkiego lata miliony kłujących komarów obudziło się do życia nad bagnami Laponii, wkładają walczący tu żołnierze niemieccy siatki przeciw tym natrętom. Ale nie zawsze można nosić te siatki ochronne. Mianowicie wtedy nie, gdy jako szperacze posuwają się żołnierze niemieccy przez zielone, prawie nieprzejrzyste zarośla (na lewo). Gęsta siatka przeszkadza wówczas wszelkiej obserwacji. I wtedy właśnie natrętne komary, nie zważając na różne maści odstraszające i oleje od komarów rzucają się na swoje „ofiary". Jedynym lekarstwem na nie jest wówczas pozwolić się tak pokłuć, by stępieć na ich ukłucia i stracić zupełnie czucie. Do tej przykrości dołącza się jeszcze i ta, że teren walki jest częściowo bagnisty (na prawo), przez co utrudnione jest wszelkie posuwanie się naprzód.





W kole:

KARABIN MASZYNOWY NAPRZÓD!

Oddział szperaczy niemieckich na froncie północnym natknął się w gęstych do nieprzebycia lasach północy na oddział bolszewicki. W szybkim tempie przenoszą żołnierze karabin maszynowy na stanowisko i podejmują walkę z bolszewikami.



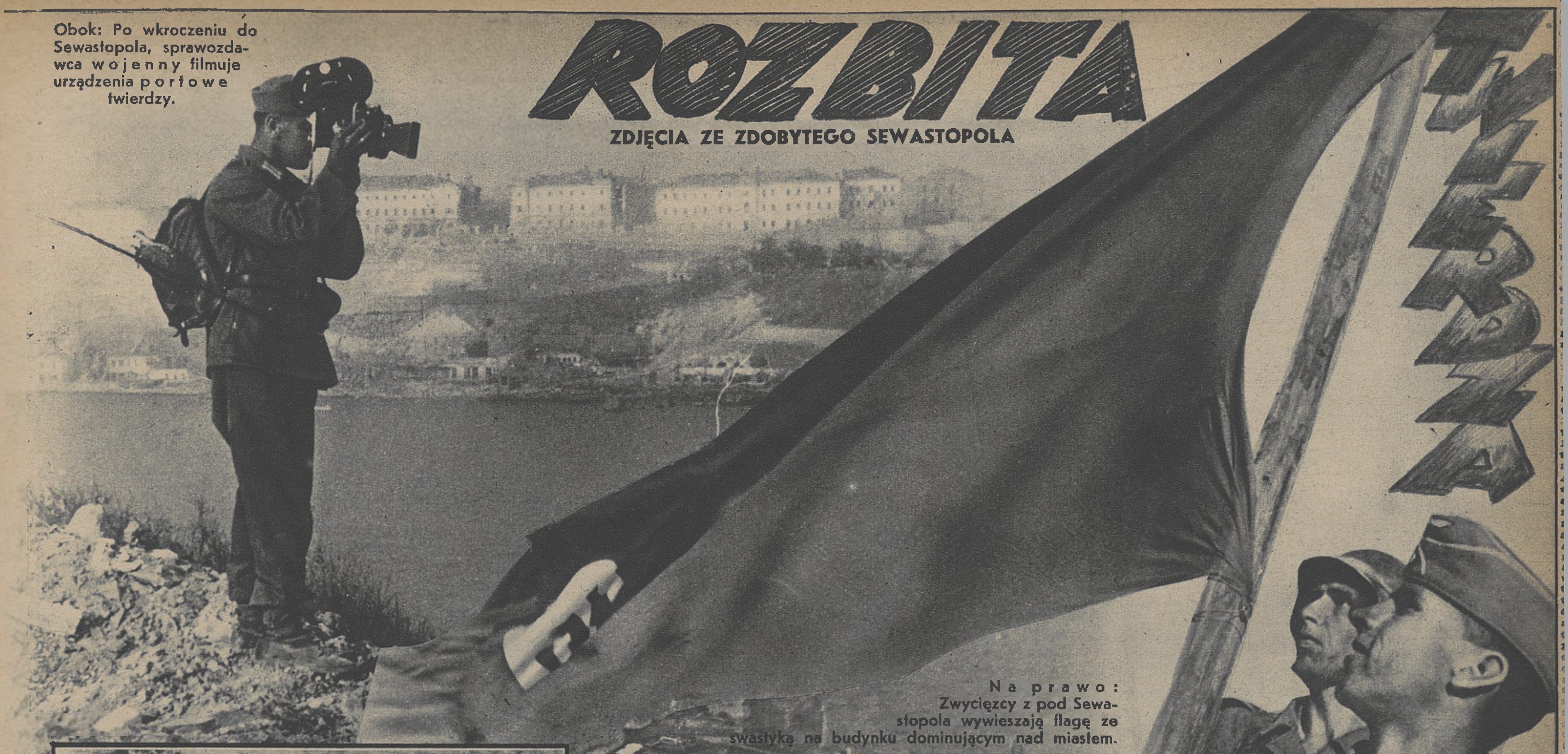
Poniżej:

DOWODY ZNISZCZENIA

Oto obraz walki wyniszczającej w terenie lesistym: kikuty drzew, obumarłe lasy a wśród tego spalone i unieszkodliwione czołgi bolszewickie.

ROZBITA TWIERDZA

ZDJĘCIA ZE ZDOBYTEGO SEWASTOPOLA



Obok: Po wkroczeniu do Sewastopola, sprawozdawca wojenny filmuje urządzenia portowe twierdzy.

Na prawo: Zwycięzcy z pod Sewastopola wywieszają flagę ze swastyką na budynku dominującym nad miastem.





Fot. P. B. Z. 1, Atlantic 1, SS.-PK. 3.

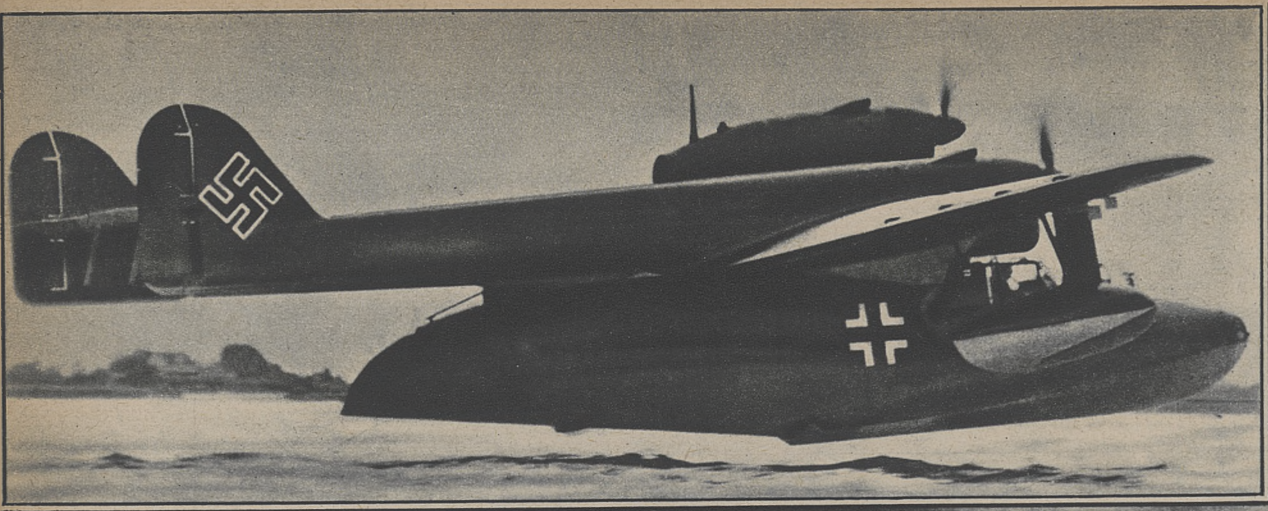
Na lewo: Niemiecka piechota maszeruje na pozycje bojowe w obrębie umocnień Sewastopola.

W kole: Bardzo ciekawe zdjęcie z samolotu. Najsilniejszy fort Sewastopola „Maksym Gorki" kompletnie rozbity przez bomby lotnicze i pociski artyleryjskie.

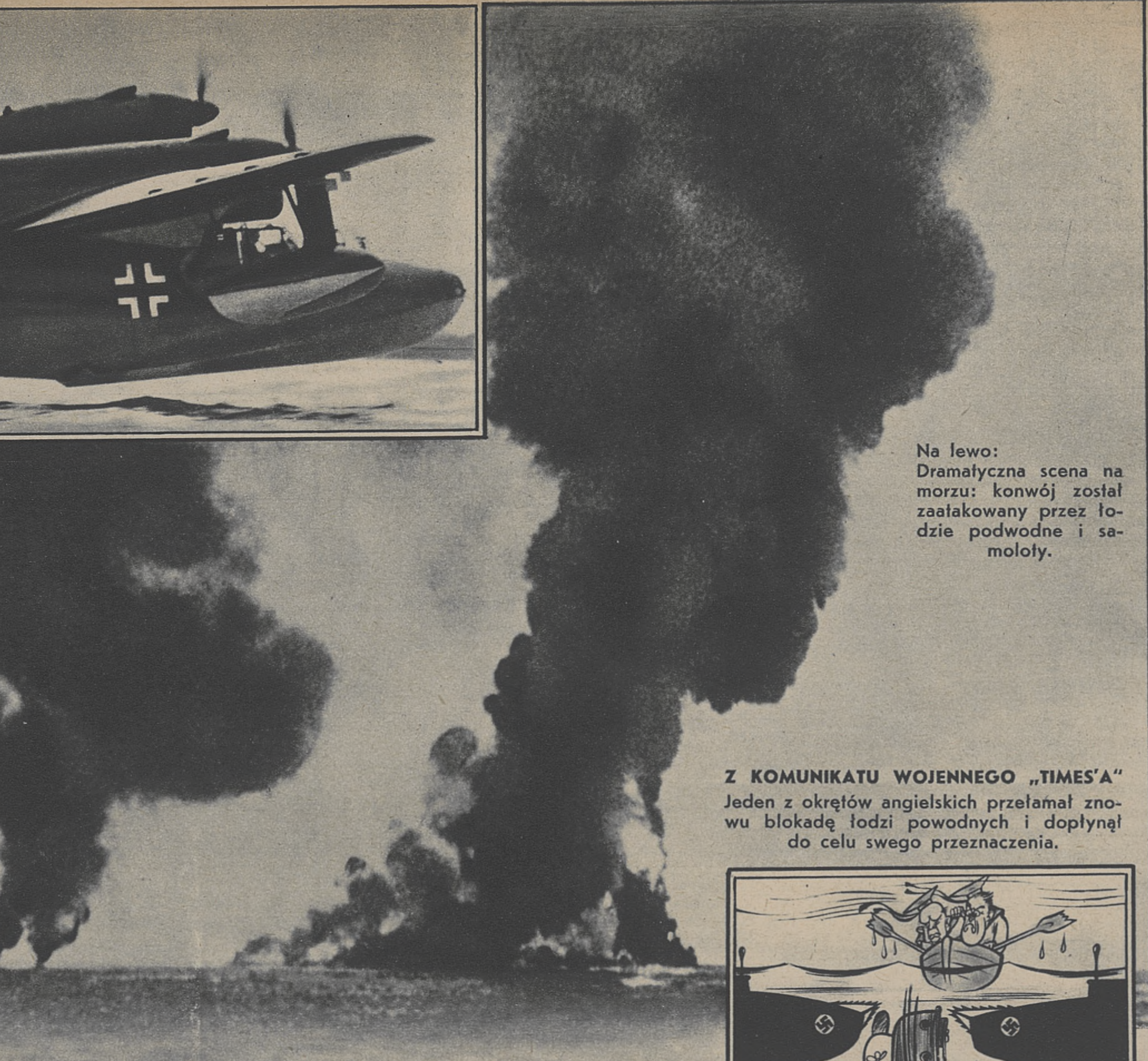
Poniżej: Ogrom zniszczenia spowodowany artylerią w mieście Sewastopolu.



KONWÓJ WŚRÓD LODÓW



NIEMIECKI SAMOLOT WYWIADOWCZY NA M. LODOWATYM
Oto jeden z nowych hydroplanów niemieckich BV 138, który bardzo skutecznie używany jest do wypatrywania konwojów na M. Lodowatym Północnym. Ten trójmotorowy samolot jest wyposażony w najnowocześniejszą broń, a zasięg jego działania jest wybitny.



Na lewo: Dramatyczna scena na morzu: konwój został zaatakowany przez łodzie podwodne i samoloty.



Okręt toruje sobie drogę wśród kry.

Z KOMUNIKATU WOJENNEGO „TIMES'A"
Jeden z okrętów angielskich przełamał znowu blokadę łodzi powodnych i dopłynął do celu swego przeznaczenia.



NA GRANICY KRY, NA CMENTARZYSKU KONWOJÓW

Z bazy wypadowej na północnym wybrzeżu Norwegii wystartowały niemieckie samoloty wywiadowcze do lotu nad niezmierzoną płaszczyzną M. Lodowatego Północnego. Nagle wypatrzyły one olbrzymi konwój angielsko-amerykański. Składał się on z okrętów liniowych, lotniskowców, krążowników, kontrtorpedowców i korwet. Natychmiast dano znać o tym do portu wypadowego. Ten olbrzymi transport przeznaczony dla Sowietów nie powinien dopłynąć do celu. Za pośrednictwem radia zwołano więc ze wszystkich stron łodzie podwodne na pozycje wyjściowe. W ścisłej współpracy z łodziami podwodnymi zaatakowały jednocześnie konwój silne eskadry samolotów bojowych. Całymi dniami trwała zacięta walka. W ciągłych atakach samolotów niemieckich i łodzi podwodnych został konwój rozproszony i w końcu zupełnie zniszczony. Z szumem zamykały się wody M. Lodowatego za tonącymi frachtowcami. 260 000 ton okrętów naładowanych olbrzymią ilością ważnego materiału wojennego przeznaczonego dla bolszewików poszło na dno.

Oto krótkie sprawozdanie o katastrofie konwoju angielsko-amerykańskiego na M. Lodowatym. Cały dramatyczny jej przebieg przedstawi w swoim czasie dopiero niemiecki tygodnik wojenny.

Żegluga morska na obu morzach polarnych doznaje dwóch przeszkód wynikających z warunków klimatycznych tych stref. Te przeszkody to góry lodowe i mgły. Na M. Lodowatym Północnym dochodzi do tych dwóch niebezpieczeństw jeszcze kra. Góry lodowe są to olbrzymich rozmiarów ułamki lodowców zsuwających się do M. Lodowatego Północnego z obszarów dokoła bieguna północnego. Kra zaś tworzy się ze zamarzającej podczas zimy polarnej powierzchni morza i topniejącej w czasie krótkiej wiosny polarnej. Kiedy bryły kry nasuną się jedna na drugą, powstaje ławica lodowa. Na wiosnę, gdy morze zaczyna się ruszać, pod wpływem wiatrów wiejących w jednym kierunku tworzy się wśród idącej kry i ławic lodowych wyłom, którym mogą płynąć okręty. Wyłom ten, szerszy lub węższy, zależnie od siły wiatru, pozostaje wolny już przez całe lato, które trwa tam, oczywiście w nieco innej formie niż u nas, od maja do września. Jest to jedyna droga morska na granicy ławic lodowych a czas od maja do września jedyny okres zapewniający żegludze pewne bezpieczeństwo.

O ile trudniejszą i niebezpieczniejszą jest jednak żegluga w tych stronach w czasie wojny, o tym informuje nas marynarz amerykański z agencji United Press:

W końcu lutego opuścił jego okręt jeden z portów USA i popłynął w niewiadomym kierunku. U wybrzeży Kanady przyłączył się okręt do jakiegoś konwoju. Konwój ten został zaraz następnego dnia po wyruszeniu zaatakowany przez niemieckie łodzie podwodne. Po krótkim odpoczynku w jednym z portów angielskich popłynęły pozostałe okręty w kierunku Murmańska. Jednakże już w 20 godzin po opuszczeniu portu, został jeden parowiec storpedowany. Konwój musiał więc zawrócić z powrotem. W trzy dni po powtórnym wyruszeniu od wybrzeży angielskich nastąpiły na konwój kombinowane ataki łodzi podwodnych i lotnictwa. Załogi okrętów płynących w konwoju były przez 20 godzin w ostrym pogotowiu. Jedna z łodzi podwodnych, zanurzona tylko do połowy, ostrzeliwała jego okręt ogniem z dział. Działo na jego parowcu zostało unieszkodliwione przez bombę. On sam stracił przytomność i po ośmiu godzinach dopiero z powrotem ją odzyskał. Na Morzu Lodowatym został konwój po raz trzeci zaatakowany, był jednakże w korzystnym położeniu z powodu mgły. W miejscu umówionym na dalekiej Północy przejęły następnie okręty rosyjskie opiekę nad konwojem. Bolszewicy byli bardzo zdenerwowani i ostrożni i przy każdym podejrzanym zjawisku rzucali tuzinami bomby wodne. W porcie Murmańska były te okręty ponownie bombardowane.



Pędzące góry lodowe tak olbrzymich rozmiarów jak to widzimy na zdjęciu rzadko pokazują się na uczęszczanej drodze morskiej. Fantastyczny ten kształt nadały im uderzające o nie fale.

Fot.
Slg. Seiler 2
Scherl 1
Atlantic 1
P. B. Z. 1



Z OKAZJI OTWARCIA WYSTAWY WOJENNEJ W SUKIENNICACH W KRAKOWIE

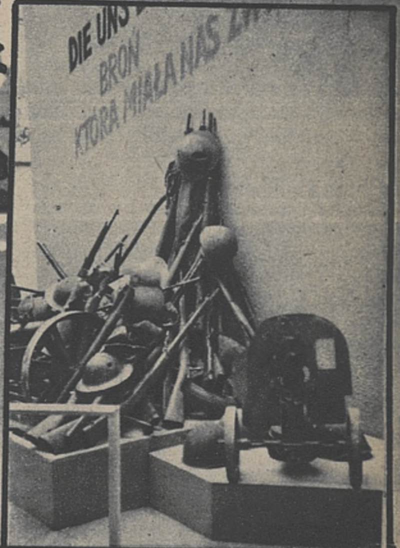
Wielka wystawa wojskowa pod hasłem „Wojna światowa z bolszewizmem i plutokracją", której otwarcie odbyło się dnia 15. VII. 1942, zajmuje wszystkie sale w górnych kondygnacjach Sukiennic krakowskich i zawiera nie tylko eksponaty z dziedziny wojskowej, ale także dokumenty, materiał ilustracyjny, statystyki, modele itp., które dają odpowiedni pogląd na powody obecnej wojny, jej powstanie i rozszerzanie przez aliantów, jak również na łączność między wolnomularstwem, komunizmem a żydostwem.

Przeto sale na wystawie, w których wystawiono dokumentowy materiał, posiadają specjalne znaczenie. Na podstawie plakatów, odezw, tajnych rozkazów i poufnych informacyj dowiedziono, iż żydostwo i wraz z nim związani masoni Anglii i Ameryki oraz czołowi ludzie kominternu starali się o to, aby Europę uczynić niejednolitą i słabą, aby później tym łatwiej ją opanować. Przedstawiono również udział Ameryki w odpowiedzialności za wojnę, a w osobnej sali pomieszczono materiał ilustracyjny i statystyczny na temat szkodliwych wpływów żydostwa amerykańskiego, którego potęga sięga najwyższych placówek urządzeń państwowych. Szczególnie pouczającym jest model wielkiego bunkra, dalej model Malty podczas ataku niemieckich bombowców i mapy reliefowe. Fascynującymi wprost są eksponaty z zakresu lotnictwa i marynarki. Wspaniale wykonane modele dają dokładny pogląd na niszczące działanie najstraszniejszej broni niemieckiej — lotnictwa — oraz dokładnie zobrazowana walka na morzu, szczególnie zaś łodzi podwodnych. Na placu pod Sukiennicami wystawiono zdobyte czołgi, armaty i samoloty.



Fot. Borek. Rösner

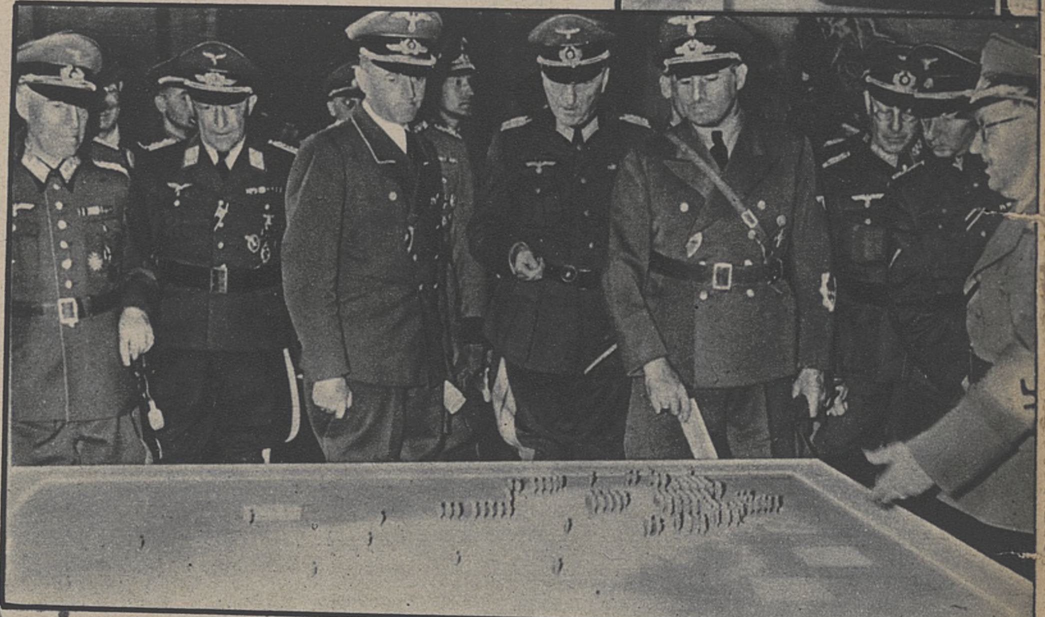
ŻYD — PROWOKATOR TEJ WOJNY
Reprodukowana tu mapka wykazuje jak dalece osiągnęło już żydostwo swój cel: opanowanie całego świata poprzez plutokrację i bolszewizm. Równocześnie wykazuje ona jednak ile „nici" wyrwała mu już z rąk walcząca Europa.



Na prawo: Rosyjski i angielski sprzęt wojenny zdobyty w tej wojnie.



Na lewo: Rzut oka na jedną z sal wystawy. Zainteresowanie publiczności i udział jej w wystawie są wielkie.



Na prawo: W obecności głównodowodzącego w Gener. Gubernatorstwie generała kawalerii v. Gienantha (w środku) otworzył generalny gubernator minister Rzeszy dr Frank (na prawo) wystawę dla publiczności.

U dołu: Uroczyste otwarcie wystawy na Adolf Hitler Platz w Krakowie.



PRZYJEMNOŚCI NAD I... POD WODĄ



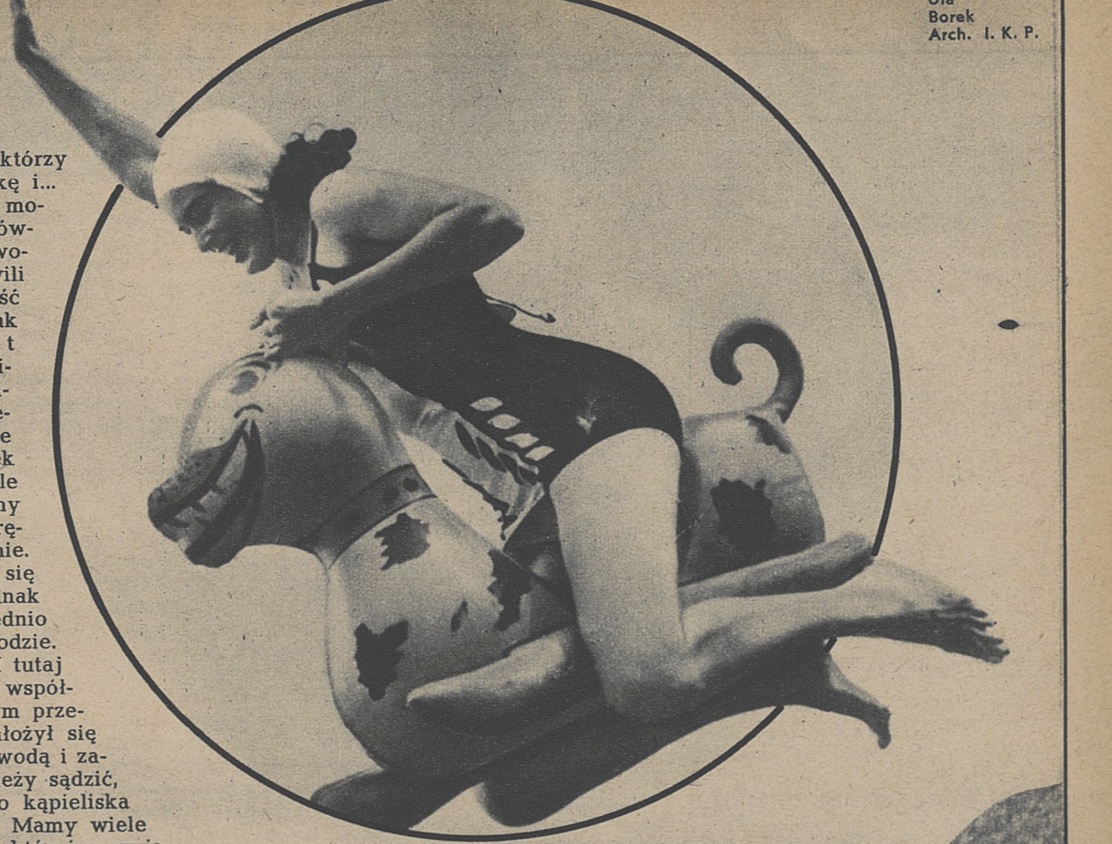
PŁYWAK Z ŁUKIEM
Sam skok z 10 metrowej wieży wymaga już dużo zręczności i umiejętności. Skakanie z tej wysokości połączone z trafianiem do celu to już jednak wyczyn artystyczny, który jednakże ze sportowym skokiem pływackim nie ma wiele wspólnego tak jak i ów...



CLOWNI NA TRAMPOLINIE
Poleca się do naśladowania! Prosimy spróbować raz. Każdy przekona się wtedy, że ci dwaj clowni, którzy rozśmieszają swymi skokami publiczność, muszą być doskonałymi pływakami i skoczkami.



...ROWERZYSTA W KOSTIUMIE KĄPIELOWYM,
który z 8 m wysokiej trampoliny rzuca się do wody. Z pozycji jego można sądzić, że spadnie on do wody na brzuch. Co to znaczy, wiedzą doskonale ci, którzy już próbowali skakać głową w dół, a spadli na brzuch.



UWAGA! TERAZ JA!
Zarówno roześmiana pływaczka jak i mina jej gumowego wierzchowca-psa pokazują, że skakanie do wody to wielka przyjemność. Publiczność na pewno oddałaby obojgu należyte brawa.

Fot. Scherl
Uła
Borek
Arch. I. K. P.

Wśród licznych gałęzi sportów — pływanie stanowi bodaj jeden z najmłodszych sportów. Można wprawdzie dowieść, że ludzkość od swego zarania zajmowała się problemem utrzymywania się na wodzie, niemniej jednak pływanie — jako sport — rozwinęło się stosunkowo niedawno. Jeszcze przed pierwszą wojną światową umiejętność poruszania się we wodzie była talentem, rzadko spotykanym wśród szerszego społeczeństwa. Fotografie z tych czasów ukazują nam ludzi, ubranych w dziwnie skonstruowane kostiumy, które same przez się uniemożliwiały skuteczne zwalczanie żywiołu wodnego. Liczne, zatwardziałe przesądy w tym zakresie stały na przeszkodzie do żywszego rozwoju pływania.

Jest to tem dziwniejsze, że narody, żyjące na niskim stopniu rozwoju, uważają pływanie za coś równie samo się zrozumiałego, jak i chodzenie. Widocznie im więcej oddalamy się od natury — tym więcej rzeczy naturalnych wydaje się nam dziwnymi i niezrozumiałymi.

Współczesne pokolenie doskonale orientuje się w wartości sportu pływackiego. Młodzież nie wyobraża sobie dzisiaj wprost życia bez możliwości kąpieli i sportu pływackiego. W zwycięskim pochodzie sport pływacki opanował cały świat.

Obok tego sportu poważnego, rzeczowego, w którym z jednej strony chodzi o utrzymanie człowieka w jaknajlepszym stanie zdrowia — a z drugiej o ustanowienie jaknajbardziej wyśrubowanych rekordów — mamy także i sport na wesoło — zabawę na świeżym powietrzu, wśród fal rzeki, nad morzem, czy wreszcie na jeziorze a nawet sztucznej pływalni. Bo nowoczesna urbanistyka zdołała także rozwiązać problem „miast bez wody", a więc miast, które nie leżą w pobliżu rzeki czy jeziora. Buduje się tam wielkie kąpieliska, które swoimi urządzeniami gwarantują mieszkańcom o wiele więcej możliwości rozrywkowych, niż te miasta, które szczycą się posiadaniem „własnej" rzeki. Nowoczesne kąpielisko to oaza zdrowia i humoru. Nie ma tam miejsca dla hypohondryków i malkontentów. Słońce i woda usposabiają wesoło i zachęcają do najbardziej niewiarygodnych pomysłów sportowych. Kiedy znudzi się nam pływanie — zaczynamy skakać z wysokiej trampoliny do wody. Ale niebawem przekonamy się, że jest wielu takich, którzy umieją to robić z niewiarygodną wprost zręcznością. Tym mało, że sami skaczą — organizują jeszcze całe serie popisów, graniczących już z ekwilibrystyką. Mamy więc takich, którzy skacząc do wody — strzelają z łuku i... trafiają do wyznaczonego celu.

Mamy i takich, którzy skaczą we dwójkę i... lądują, o ile tak można powiedzieć, równie dokładnie w wodzie, jakby stanowili jedną osobę. Zręczność w tym zakresie zaszła tak daleko, że mamy nawet gdzieniegdzie całe grupy popisowych skoczków, którzy organizują występy pokazowe, rozśmieszając publiczność do łez. Oczywiście obserwując tego rodzaju popisy, człowiek nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, ile starań i zabiegów kosztowało, zanim dany zawodnik doszedł do tak fantastycznej zręczności. Niektórzy znowu wolą nurkowanie. Jest coś fascynującego w tym poruszaniu się pod wodą z otwartymi oczyma, na co jednak może sobie pozwolić tylko ten, kto odpowiednio przyzwyczaił swoje oczy do patrzenia w wodzie. Nie jest to tak łatwe, jakby się wydawało. I tutaj mamy wielkie pole do popisu w zabawie i współzawodnictwie. Oczywiście nie należy w tym przesadzać jak ów pan z anegdoty, który założył się z przyjacielem, że dłużej wytrzyma pod wodą i zakład wygrał, gdyż... utopił się. Nie należy sądzić, że ci wszyscy, którzy przychodzą do kąpieliska myślą tylko o sporcie i pływaniu. Mamy wiele innych sposobności do zabawy, której sprzyja swoboda kostiumu pływackiego. Można przede wszystkim korzystać z kąpieli słonecznych. Jest wiele osób, którym imponuje to, iż są opalone na ciemny brąz. A nad tym wszystkim unosi się atmosfera upalnego lata, wesela i beztroski.



DWIE „FACHOWE"
Te dwie pływaczki pokazują już najwyższą klasę skoków. Z trzynastometrowej wysokości skaczą obie, przy czym jedna z nich skacze głową naprzód, druga wtył. Postawa pływacka obu pływaczek jest w najdrobniejszym szczególe doskonała.



CZARUJĄCA PANNA WODNA
Ona cieszy się ze wszystkiego dokoła, a wszyscy dokoła niej cieszą się, że mogą ją widzieć. Woda z fontanny opryskuje ją, co przy lipcowym upale sprawiać może tylko przyjemność.



A TERAZ — SPOJRZENIE POD WODĘ!
Objektyw podwodnego aparatu fotograficznego pokazuje nam rzeczy, których dotąd sami nie widzieliśmy. Któż z nas potrafił kiedy otworzyć oczy pod wodą? Na prawo, pływaczka, skoczywszy w wodę, wypływa znowu na powierzchnię zostawiając za sobą smugę z baniek powietrznych. Każdy z nurkujących wyżywa się pod wodą jak umie i jak długo mu powietrza starczy.

TADEUSZ CIEPLAK

IMIENINY PANI BOCZKOWEJ

Staszek — siedmioletni synek kowala Pazdury — był chrześniakiem pani Boczkowej, a został nim nie z własnej woli.

To ci dopiero honor. Kury się śmieją. Ale cóż? Za mały był wtedy żeby się bronić pięściami i kopniakami, więc wyniosła go z domu do kościoła w poduszce obszytej białym haftem i przewiązanej niebieskimi wstążeczkami.

Podobno wrzeszczał wniebogłosy, ale nikt jakoś nie zważał na jego protesty. No i stało się.

Nawet nie pamiętał tego zdarzenia, a pokutować za nie musiał. Matka nieraz przykazywała:

— Zamiast bąki zbijać, to przeleć się lepiej, smarkaczu, i odwiedź swoją chrzestną mamusię.

Dobre sobie. Staszek nie miał żadnej ochoty na takie wizyty. Zaduch tam u niej był okropny. Nudy też nie byle jakie. Poza tym bał się poprostu tej bezzębnej starej kobiety, która wpatrywała się w niego na pół przytomnymi pałającymi gorączką oczami.

A te jego strachy miały poważną podstawę. Trudno. Takie rzeczy zdarzają się czasami. Pani Boczkowa — słusznie czy nie słusznie — uchodziła we wsi za wariatkę.

Dwirski, kucharz, często gęsto kręcił palcem po czole i mawiał:

— Pasztecik u tej pani Boczkowej coś tegoś jakby nie był w porządku. Można się zdrowo uśmiać gdy zacznie bredzić od rzeczy...

Była ciotką organisty — starą panną, którą tytułowano „panią" — a mieszkała tuż, tuż przy kościele. Zajmowała w murowanym domku organisty maleńką izdebkę z oknem wychodzącym na kurniki księdza proboszcza.

Dzieciaki wsiowe interesowały się tą osobą. Z sadystyczną ciekawością przełaziły przez płot, by zerknąć w to okno. Zaś widząc za szybami długą smutną twarz, obramowaną staromodnym czepcem, trącały się łokciami i — całe pobladłe z wrażenia — szeptały:

— Jest!

A dlaczegóżby miała nie być? Była. Przecież księża gospodyni nieraz prorokowała, że pani Boczkowa nie inaczej wyjdzie ze swego pokoiku jak nogami naprzód.

Na to zakrawało. Od kilku lat stara pani Boczkowa nigdy nie opuszczała swego mieszkania. Obie nogi miała sparaliżowane.

Siedziała całymi dniami na łozinowym fotelu pod oknem i dłubała szydełkiem, z kolorowej włóczki, prześliczne szaliki. I kraciaste, i pasiaste, i kwiaciaste, i przeróżne.

Organiścina — praktyczna i fertyczna niewiasta — stale użalała się przed wszystkimi na tę mężowską ciotkę.

— Spadła nam na kark jak jaka kara boska. Turbacja i utrapienie. Trzeba ją dźwigać codziennie z łóżka na fotel i z fotelu na łóżko. Żywić. Opierać. Porządki u niej robić...

A już jakie tam były te porządki, to pożal się panie Boże. Chlew niczem. Pajęczyny zwisały z powały. Łóżko — barłóg. Piec na wpół rozwalony. Poza tym drzwi od sionki źle się domykały, więc wszystkie księżowskie kury urządziły sobie zero-zero z jej stancyjki.

Pani Boczkowa nic nie mówiła, ale cierpiała nad takim stanem rzeczy. Przyzwyczajona była do wielkich porządków i wygód. Przez całe długie życie była boną przy pańskich dzieciach. Mieszkała w pałacach, wysiadywała po adamaszkowych kanapach, jadła co najlepsze frykasy, miała prawo dawać klapsy hrabiątkom i książątkom, a także rozrządzać się lokajami jak sama chciała.

— A żeby choć jaki grosz uciułała za tyle lat służby — ubolewała organiścina.

Ale nie uciułała. Już tak się jakoś dziwnie składało, że wypłacana jej pensja rozłaziła się stale w ciągu miesiąca na karmelki, lalki, ołowiane żołnierzyki lub arki Noego dla swych ukochanych małych pupilów.

A kupa tego była w całej okolicy. Polecano ją sobie od dworu do dworu, więc posady jej nigdy nie brakło. Podobno nawet sam tutejszy dziedzic, chociaż już siwiejący, był przez nią wychowywany.

Otóż na parę dni przed imieninami pani Boczkowej — na św. Julię — już tak się po wsi roznioslo, że dużo z jej wychowanków zjedzie się do niej z życzeniami.

Kto pierwszy taką rzecz powiedział niewiadomo, ale nawet organiścina wierzyła w to święcie, więc w wilię tych to imienin zakasała rękawy i zabrała się do porządków.

A fatygi nie żałowała. Popstrzoną przez księżowskie kury podłogę wyszorowała jak należy, okno otworzyła żeby wywietrzyć zaduch. Czystą pościel dała na łóżko. Pajęczyny omiotła. Pozatykała zielone gałązki w popękanych ścianach, a — co dziwniejsze — robiła to wszystko w nienajgorszym humorze.

Pochlebiały jej takie pańskie wizyty.

— Aż miło teraz na tę stancyjkę popatrzeć — kiwała głową z zadowoleniem. — Ale niech mi się hołota ze wsi tutaj nie pcha. Pokoik nie duży, więc trzeba miejsce dla dziedziców ostawić...

A u kowala Pazdury też były przygotowania. Kowalowa uczyła Staszka wierszyków wyczytanych w elementarzu:

„Chcę na Julii imieniny
dać jej piękny kwiatek.
I powiedzieć z tej przyczyny
niech żyje sto latek".

I mówiła do malca:

— Ja tam wcale nie pójdę. Ja tam niepotrzebna. Co się będę pchała pomiędzy państwa. Organiścina wcale sobie tego nie życzy. Ale ty co innego. Ty, jako chrześniak, masz prawo tam pójść i siedzieć dotąd dopóki po ciebie nie przyjdę...

I napominała:

— A pamiętaj, całować w rękę wszystkie panie dziedziczki i wszystkich panów dziedziców. Nie gwizdaj. Nosa w palice nie ucieraj. A zapytają się o co, to odpowiadaj grzecznie. Nie wstydaj się...

Zaś rankiem, w sam dzień imienin, umyła malcowi głowę i przeoblekła go w czystą koszulę, a po południu rzekła:

— A teraz przeleć no się do dworskiego ogrodu, wleź przez dziurę w płocie i narwij tam ładnych kwiatków na bukiet. A nie baraszkuj za długo. Trzeba żebyś jeden z pierwszych złożył życzenia swej chrzestnej mamusi...

— Nie pundę! Nie fcę — buntował się Staszek w ostatniej chwili.

Ale z matką nie było żartów: — Dam ja ci „nie pundę" — wrzasnęła, schwyciła chłopca za rękę, przemocą pod kościół ciągała, aż w końcu wepchnęła go za ramiona do pokoiku pani Boczkowej.

Został przyjęty bardzo miłym uśmiechem. Już od dwóch godzin solenizantka oczekiwała na gości.

Odświętnie ubrana w świeżo ururkowany czepek ozdobiony fioletową wstążką i w czarną pelerynę, obszytą zjedzonymi przez mole strusiemi piórkami, wyglądała uroczyście.

Staszek, z konwulsyjnie ściśniętymi w garści kwiatuszkami, podszedł nieśmiało do fotelu, zapomniał o wierszyku, więc milcząc wręczył jej bukiet.

— A czyjżeś ty — spytała. — Tyle tych chrześniaków mam po całym świecie, że ju się połapać nie mogę...

I kiwając głową mówiła dalej:

— Tak! tak! Swego czasu to pani Boczkow była bardzo popularna, szanowana, rozrywı na. Nie było we wsi wesela bez pani Boc kowej i wszyscy ją w kumy prosili...

Zamilkła na chwilę, przygładziła drżącą dło nią swe siwe włosy nad czołem i znowu za częła mówić:

— Powiernicą też była wszystkich. Przytra fiło się co gdzie komu, to do pani Boczkowe jak w dym. Pocieszyła ona niejednego i nie jedną życzliwym słowem. A za czasów mo skiewskich jak było potrzeba ukryć jakie kompromitujące broszury lub papiery, to pan Boczkowa zawsze się do tego nadawała. — Julcia ukryje! Julcia wyratuje... — Pamiętam jak kiedyś w nocy przyszli żandarmi po re wizji. Nawet materace na łóżku bagnetam rozpruwali, a nic nie znaleźli. Julcia dobr obmyślała schowanka. Poszli sobie z kwitkiem.

Roześmiała się. A strusie piórka przy pele rynie drżały tak jakby gnieździły w sobi rój piskląt.

Nieprzyjemny widok. Staszek miał już cał kiem dosyć tej wizyty, więc co chwila ogl dał się na drzwi.

— Dokąd się to tak śpieszysz — zauważyła pani Boczkowa, przytrzymując go za rękę. — Nie wypada tak prędko uciekać. Siadaj no tutaj przy mnie na krześle i siedź...

Westchnęła.

— Te wszystkie małe chłopaki to zawsze takie niesforne. Pamiętam jak tutejszy pan dziedzic ani chwilki nie chciał spokojnie usiedzieć nad elementarzem. Rozkoszny był dzieciak i śliczny jak aniołek. Sama nie wiem, ale chyba jego najwięcej kochałam. Gdy poraz pierwszy przyjechałam ze stacji na nową posadę zastałam go w koszulce. Spojrzał na mnie z pode łba i wykrzyknął: — Brzydka! Ja nie chcę słuchać tej krowy! — Tak, tak. Najwyraźniej powiedział o mnie „ta krowa", ale już po trzech dniach byliśmy ze sobą w ogromnej przyjaźni. Wprawdzie słuchać mnie, to nigdy nie chciał. Wołałam go, to język na mnie wywalał. A psotny był niech Bóg broni. Kiedyś wbił stalowe szydełko w udo pokojówki Maryśki. Wyła z bólu... Zaś innym razem wylał mi na bieliznę, ułożoną w szufladzie komody, całą flaszkę atramentu...

Spojrzała w okno i rzekła do Staszka:

— Wstań z krzesła, wychyl no się dobrze z okienka i popatrz na drogę...

Wychylił się.

— No i cóż tam widzisz?

— Widzę Wiktę od Sobka. Pędza stado gęsi z ugoru...

Pani Boczkowa znowu westchnęła.

— No, jeszcze wcześnie. Ale już tak sobie myślę, że chyba najsampierw przyjadą obie panny hrabianki z Naborówka. A takie były miłe, kochane dzieciaki. Miały zwyczaj wbijać szpilki w krzesło pani Boczkowej, a gdy ją przypadkiem ukłuło — nie powiem w którą część ciała — to śmiały się jak wariatki. Ostatnia moja posada. Czas leci. Aż trudno mi uwierzyć, że teraz są już dorosłymi pannami...

Trzęsła głową przy tym opowiadaniu, a strusie piórka przy pelerynie znowu zaczęły drżeć.

— Brrrrr...

Ciarki przebiegały Staszkowi po grzbiecie. Zaczął się wiercić na krześle.

Ciąg dalszy na stronie 10-tej.

E. KŁONIECKI

STAW SMRECZYŃSKI

Z cyklu „TATRY“

Z pierścienia smagłych świerków, co żywicą dyszą,
niby jakaś bezcenna, kryształowa krużа
staw Smreczyński lustrzane oblicze wynurza,
upojony swym pięknem i błękitów ciszą;

nawet trzciny swych skroni do snu nie kołyszą,
chociaż zwolna się chyli słońca złota róża
poza zbocza Ornaku i tatrzańskie wzgórza,
które okrzyk podziwu dwakroć w sobie słyszą!...

Mimowoli krok zwalniasz i patrząc w zachwycie
na gór zbocza, na smreki z tym zwierciadłem gładkim,
w którymś ujrzał, prócz nieba, swej duszy odbicie —

łzy cisnące się do oczu ocierasz ukradkiem
jakbyś tutaj, ponad stawem, w tym ustroniu błogim —
znalazł szczęście... ukojenie i rozmawiał z Bogiem!...

KRYSTYNA GRUSZECKA

SKARB POSZUKIWACZA ZŁOTA

Karawana zatrzymała się. Wśród tego morza śniegu i lodu ukazała się nagle mała płachta ziemi, czarnej, nagiej i spękanej. Dookoła, na niewielkiej przestrzeni widać było porozrzucane tu i ówdzie chaty ogrodzone płotkami, znak jakiegoś życia ludzkiego.

Ludzie, śmiertelnie pomęczeni wyprzęgli psy z sanek i obsiedli natychmiast rozpalone naprędce ognisko, posilając się fasolą i popijając herbatę. Po chwili nie czuli już prawie zimna tej niegościnnej okolicy. Bliskość obiecanego im złota rozgrzała ich krew bardziej niż ognisko i herbata, chwyciła ich gorączka tego kruszcu pozwalając im zapomnieć o wszystkich przebytych już trudach i czekających ich dalszych przygodach.

Powoli zaczęli się schodzić do wielkiego blockhausu wraz ze swymi agentami, których sprowadzili z fortu Good hope. W niedużej, prawie pustej sali wisiała na jednej ze ścian mapa, podzielona na wiele małych poletek. Za stołem, nakrytym jakąś zieloną, wypłowiałą już serwetą, w głębokim skórzanym fotelu siedział przed flaszką z wódką człowiek o twarzy buldoga. Niespokojne jego i krwią nabiegłe oczy z uwagą śledziły twarze wchodzących. Wszyscy oni kierowali się jak ciągnięci magnesem w stronę mapy, w którą wpatrywali się oczyma płonącymi nadzieją bogactwa.

— Ludzie — zaczął wtedy wołać człowiek za stołem — przekonacie się, że wydobywanie złota w tym okręgu, z którego działki my dziś sprzedajemy opłaci się wam. W całej tej okolicy wydobywa się już od lat złoto. Załatwmy więc to prędko! — Mówiąc wyraz „to" wskazał grubym palcem na mapę z działkami i stękając opadł na skórzane poduszki fotelu sięgając równocześnie po flaszkę z wódką. A ludzie posunęli się znowu do mapy ze swymi agentami, od których zasięgali informacyj o działkach, które zamierzali nabyć. — Według tej mapy — wstał znowu człowiek za stołem — zorientujecie się najlepiej i na tej mapie niech każdy kupujący wpisze swoje nazwisko.

Przybysze wahali się. Wpisanie swego nazwiska pozbawiało ich w jednej chwili większej części ich gotówki, z którą tu przybyli, nie wiedząc jaki ich czeka los. Była ona ostatnim zabezpieczeniem ich życia. Czy kupią za nią to, czego tak gorąco pożądali?

— Kto chce kupić claim, niech się spieszy — popędzał ich wolę człowiek o twarzy buldoga — inaczej sprzeda się komu innemu. — Słowa jego brzmiały pewnością i pogróżką jak szczekanie złego psa.

Wreszcie jeden ze stojących przed mapą wpisał jako pierwszy swoje nazwisko i za jego przykładem poszli inni. Sztuki czystego złota zaczęły z dźwiękiem wpadać do pudełka od cygar stojącego przy flaszce z wódką. Stare, dobre złoto zamieniali przybysze na takie, którego jeszcze nie widzieli a może tylko na czarną, niegościnną ziemię?

Jako ostatni wpisał swoje nazwisko ojciec Eweliny, John More. W dziesięć minut później siedzieli w tym samym blockhausie agenci i rozdzielali pomiędzy siebie wyłudzone pieniądze. — Handel ziemią opłaca się — zaśmiał się buldog — złoto wydobywa się teraz nie w Klondyke, lecz w Chicago!

— Wolałbym mieć tysiąc mil za sobą — rzekł jeden z agentów, którego sumienie jeszcze niezupełnie zmartwiało. Jest wściekłe zimno. 50 stopni, a jednak pali mi się ziemia pod nogami.

— Phi... zawsze potrwa to trochę, zanim ci ludzie z płaczem udadzą się do szeryfa — uspokoił go drugi. — Nas już wtedy tu nie będzie.

Poczym wszyscy pochylili się nad stołem i zaczęli naradzać się nad drogą powrotną.

Ewelyn More, która cały świat zjeździła ze swym ojcem, wiecznie niespokojnym i żądnym nowych przygód, przybyła z nim również i tutaj. Była ona jedną z niewielu kobiet biorących udział w karawanie poszukiwaczy złota. Szorstcy brutalni ludzie, jakimi byli zwykle prawie wszy-Szorstcy, brutalni ludzie, jakimi byli zwykle prawie wszyi grzeczniejsi i dobrym słowem starali się odpłacić jej za troskę o nich. Ona bowiem na równi z innymi kobietami troszczyła się o ich potrzeby, gdy oni szukali złota, ona wszystkich równo traktowała, mimo że jeden i drugi starał się o jej względy. Całe szczęście, że myśli ich były jednak bardziej zajęte złotem niż nią. Nie mieli czasu na miłość i wzajemne nieporozumienia. — Później — tak myślał sobie niejeden — kiedy już znajdę żyłę złota, otrzymam też skarb jej miłości.

Ale później nie znaleźli poszukiwacze tej żyły złota, której tak pragnęli. Przyszła natomiast nędza i zwątpienie. Po kilku słabych próbach odkrycia zawiodły. Zdobycz była niewielka i w ogóle się nie opłacała.

James Cook, który był zaufanym sąsiedniego obozu, przyszedł ze swymi ludźmi do biedaków by ich pocieszyć i dodać otuchy. Zaczął więc badać piasek, z którego oni chcieli wydobyć złoto. Poczem wyciągnął garść złotego piasku, który zawsze nosił w kieszeni i porównał go z drugim. — Patrzcie, jak błyszczy mój piasek, a jak wasz. W waszym piasku nie ma w ogóle złota! Zostaliście oszukani!

Poszukiwacze wysłuchali tego wyroku jak odurzeni. Z początku nie byli w stanie zdać sobie jeszcze sprawy z całej grozy tego faktu. Kiedy jednak ochłonęli, posypały się na głowy agentów słowa przekleństw i złorzeczeń.

— Padliście ofiarą oszustwa, przyjaciele — mówił dalej Cook do poszukiwaczy. — Złoto, które tu wydobyliście, nie pochodzi wcale stąd. Zostało ono tu przywiezione i zmieszane przed waszym przybyciem z piaskiem, ażebyście mieli pozór, że jest go tu więcej.

Wielu poszukiwaczy wyjechało jeszcze tego samego dnia z powrotem, pozostali tylko nieliczni i bardziej zawziętsi, jednak i oni przekonali się po kilku tygodniach biedowania i nadludzkich trudów o bezowocności swych poszukiwań, spakowali więc resztę swego dobytku na sanki i klnąc i złorzecząc popędzili psy naprzód.

John More i Ewelyn należeli do tych, którzy mieli wyjechać ostatni. James Cook przychodził do nich dość często ze swymi towarzyszami i pomagał biednym poszukiwaczom w ich daremnej robocie. Już niejeden wieczór spędził Cook w izdebce Morea, zgubiwszy w niej swoje serce. Ewelyn nie spodziewała się niczego. James Cook jeszcze nigdy nie wspomniał jej o swojej dla niej miłości. Wiedział, że była obojętna dla mężczyzn i że niejednemu powiedziała już „nie".

Dwa dni przed odjazdem More'a przyszedł do niego Cook i rzekł:

— Zdaje mi się, że główna żyła naszej kopalni przechodzi na pańską działkę. Jeżeli pan chce, będę z panem szukał złota na pańskiej działce, a zyskiem podzielimy się do połowy. Jeżeli natrafimy na żyłę, to dobrze, jeżeli nie, i tak nie poniesie pan szkody.

More zaczął wypytywać go chciwie o szczegóły, a Cook objaśniał mu obszernie, budząc tym nowe w nim nadzieje.

— Namyślę się nad tym i dam panu odpowiedź jutro — powiedział w końcu More.

Ojciec i córka spędzili bezsenną noc, a rano More rzekł do Ewelyn: — Zostajemy.

Ewelyn zmarszczyła czoło: Przecież Cook mógłby mieć naszą działkę sam dla siebie, gdybyśmy wyjechali. Mógłby ją kupić za kilka dolarów. Nie rozumiem, dlaczego to robi.

Zachowanie Cooka zaczęło teraz budzić jej czujność, a zachowanie ojca oburzyło ją. Stary More rzekł bowiem: — Cook jest głupcem, jeżeli sądzi, że będę się z nim dzielił zyskiem. Będę szukał dalej sam.

Córka spojrzała na ojca roziskrzonymi oburzeniem oczyma: — To nieuczciwie, ojcze, to niegodne człowieka honoru. Zaufanie za zaufanie! Nie wolno ci wykorzystywać tylko dla siebie szans, które ci Cook daje.

— Cóż to ciebie obchodzi — krzyknął More i cała gorycz niepowodzenia wyładowała się w tej chwili w jego gwałtownych słowach — ileż razy ja zostałem oszukany, ile razy mnie ktoś podszedł i uprzedził. I właśnie teraz, gdy nadarza mi się sposobność mam udawać gentlemana? Nie, kochanko, twoja wrażliwość nie powstrzyma mnie od tego, że postąpię, jak ja sam uznam za stosowne.

Gdy wieczorem Cook zjawił się jak zwykle w izdebce More'a, ten rzekł do niego: — Zdecydowałem się, zostaję tu, ale sam będę szukał złota. — Całkiem słusznie — odpowiedział James Cook nie mrugnąwszy nawet okiem na znak zdziwienia. — Tylko jedno jeszcze muszę panu powiedzieć, że i ryzyko straty ponosi pan wtedy sam. Ale mimo to, możemy pozostać przecież nadal dobrymi przyjaciółmi, prawda? Gdyby się panu poszukiwania nie powiodły, znajdzie się jeszcze zawsze miejsce dla pana wśród nas.

Zdziwiony nieco przyjął More propozycję Cooka. Spodziewał się raczej tego, że Cook będzie się wściekał i robił trudności. A Cook przychodził wieczorami tak jak

KNOTEK I MOTEK

Rys. i tekst: Pawl.

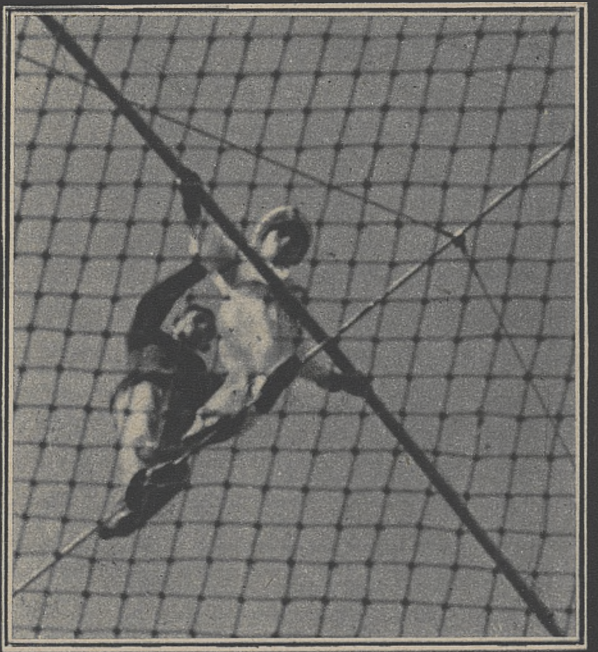


Knotek w stawie ryb pilnuje
I kłopotu ma z tym wiele;
Czy kto też niezawędruje,
Gdzie wzbronione są kąpiele.

Nadbiegł Knotek zagniewany,
Lecz nie w stawie — bo do wanny
Motek wlazł rozradowany
W towarzystwie pięknej panny.

Jak niepyszny — legł na trawie
Obok złożył swoją flintę
Zerka na staw wciąż ciekawie
I opuścił nos na kwintę.

MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ







W pierwszych dniach lipca Warszawa przeżywała wielką sensację — zawitała tu bowiem na gościnne występy światowej sławy trupa napowietrznych linoskoczków. Trupa ta nosząca nazwę Camilli II dała szereg przedstawień gromadząc na pl. Napoleona, gdzie odbywały się pokazy, niezliczone tłumy widzów. W czasie dwugodzinnych pokazów warszawianie przeżyli chwile niezapomnianej emocji podziwiając odwagę i zręczność artystów wykonujących trudne ćwiczenia na wysokości 42, 30 i 20 m.

Z pośród obfitego pogramu na szczególne wyróżnienie zasługują tańce i klasyczny szpagat Camilli Mayer II, jazda trzech artystów na rowerze, „ślepa babka" (artysta zawiązany z głową w worku). „Zimne poty" występowały widzom z wrażenia, gdy 17-letnia Camilla II na 42 metrowym maszcie swobodnie zakładała sobie nogę na szyję, pudrowała nosek i skakała na chwiejący się trapez. Wspaniały widok przedstawiała także „jazda śmierci" Ilsy Mayer z czternastopiętrowego budynku nad ulicą Szpitalną do Chmielnej.

Sensacją jednego wieczoru był także występ kpt. Morasa, który przeprowadził naszego współpracownika p. Zygmunta Bakułę po linie (zdjęcie pierwsze i drugie od góry), aby przekonać go, że te niesamowite popisy nie są jakimiś nieczystymi sztuczkami, lecz są wynikiem długoletnich ćwiczeń i dużej odwagi artystów. Pod liną rozciągnięta jest wprawdzie siatka — ma ona jednak tylko iluzoryczne znaczenie, każdy bowiem upadek na nią kończy się i tak śmiercią lub kalectwem.

Na zdjęciu pierwszym od dołu — widzimy roześmiane twarze warszawian oglądających jeden z numerów pod nazwą „ślepa babka".

Fot. Bilażewski

Dokończenie ze strony 8-mej.

— Co się tak wiercisz? Chcesz wstać, to wstań. Podejdź do okna, wychyl się dobrze i zobacz czy tam przypadkiem nikogo na drodze nie widać...

Wychylił się.

— Księżowy pies leci...

A pani Boczkowa jeszcze westchnęła, przymknęła oczy i długo, długo milczała.

— Śpi, czy jak?

Ale nie spała. Raptem podniosła głowę i znowu zaczęła mówić:

— Życie mi lekko przeszło. Wprawdzie tak byłam zajęta cudzymi dziećmi, że o sobie nigdy nie miałam czasu pomyśleć. Zostałam starą panną, ale za to użyłam tych pańskich splendorów po czubek głowy. A wcale na to nie byłam przygotowana. Uboga była nasza rodzina. Ojciec był leśniczym. Mieszkaliśmy w nędznej chałupinie na skraju lasu i nieraz pani Boczkowa na bosaka dyrdała do szkoły. A uczyła się pilnie. Ojciec zawsze mawiał, że będę nauczycielką. No, byłam tylko boną, ale to jest mniej więcej to samo...

I znowu kazała Staszkowi wychylić się przez okna.

— I cóż tam widzisz?

— Bydło powraca z pastwiska...

— Ach, mój Boże! Czyżby już było tak późno? Ale to nic. Tacy państwo mają zwyczaj się spóźniać i wcale bym się nie zdziwiła gdyby przyjechali dopiero o zmroku. Pamiętam jak na bal do księcia Komarnickiego zjeżdżali się około północy. No, może się mylę. To nie było u księcia tylko u państwa Trze... Trzo... Zapomniałam nazwiska. Dziwne, ale czasami wszystko mi się plącze. Zawsze najlepiej pamiętam swe lata dzieciństwa. Sierotą byłam. Matka wcześnie nas odumarła, ale ją dobrze pamiętam. Śni mi się nieraz po nocach. Cichutko uchyla drzwi, wchodzi na palcach do pokoiku, zbliża się do łóżka i składa słodki pocałunek na czole pani Boczkowej...

— Tak, tak. — kiwała głową. — Stara już jestem i obrzydliwa. Pani Boczkowej już nikt nigdy nie zechce pocałować, ale matka pocałuje... Choćby się żywcem gniło, a pocałuje...

I znowu zamilkła na dłużej.

Nagle zebrała się w sobie, zatrzęsła wszystkimi piórkami i jak ten nastroszony krwiożerczy sęp zanuciła cienkim głosikiem:

„Ojczulku, każ mi dać sukienkę białą,
Jak mamy, gdy ubrano ją od święta.
I tyle świec w około niej jaśniało,
A ona spała w kwiatach uśmiechnięta".

Włosy zjeżyły się Staszkowi na głowie.

A ona pochyliła się nad malcem i szeptała mu w samo ucho jakimś strasznym, przejmującym głosem:

„Ja nie chcę czarnej sukni, nie chcę, nie chcę, nie chcę,
Bo na płacz się zbiera.
Mnie tak mateczka nigdy nie ubiera...
biera... biera... biera... biera"...

Rozpłakał się z przerażenia.

A gdy o szarej godzinie matka przyszła po niego i wyprowadziła zalanego łzami do sionek, to organiścina zastąpiła im drogę.

— Moja pani kowalowo — utyskiwała. — Odżałować się nie mogę tych porządków. Potrzebne mi było tak się fatygować. Przecież nawet kulawy pies do ciotki nie zajrzał...

— Dobre sobie! Kulawy pies — pomyślał Staszek z goryczą.

A jego wizyta to już się za nic nie liczyła?

Dokończenie ze strony 9-tej.

i przedtem i grzał się przy gościnnym ognisku More'a. Ewelyn ruszała się po izdebce, gotowała, prała i naprawiała bieliznę. Ciemne oczy gościa wodziły za jej ruchami, wyrażając zupełnie jasno gorącą miłość. Niekiedy chwytała Ewelyn jego utkwione w siebie spojrzenie i w tych chwilach zdawała sobie dokładnie sprawę z tego co działo się w duszy tego mężczyzny, uświadamiała sobie jego uczucie gorące i głębokie, gotowe wszystko dla niej uczynić. Przeraziła ją tajemnicza potęga tej miłości, która poruszyła i jej serce i wprowadziła doń niepokój, którego dotąd nie znała.

Stary More spędzał dnie na bezustannym poszukiwaniu, zgryźliwy i skąpy w słowach grzebał całymi dniami w ziemi przekopywał ją, przewracał, rył w niej jak kret, a ona odmawiała mu ciągle swojego skarbu. Wieczorem wracał zmęczony do domu i natychmiast kładł się spać. Zdarzało się więc, że Cook pozostawał z Ewelyn godzinkę lub dłużej sam w pokoju. Oboje mówili wówczas bardzo mało, przerwy w rozmowach były bardzo długie, odgradzało ich bowiem to n i e w y p o w i e d z i a n e.

Po długich tygodniach pracy doszedł More do przekonania, że lepiej ją przerwać. Przestał wierzyć w jakiekolwiek powodzenie. Aż dopiero w ostatniej bodaj godzinie przed odjazdem stał się cud: stary natrafił nagle na żyłę złota. Błyszczało ono w czarnej ziemi żółtym blaskiem, leżało w większych i mniejszych okruchach, ciekło raz wąskim to znowu szerszym strumieniem. Nie było już żadnej wątpliwości: More natrafił na główną żyłę. To był jego wielki skarb, marzenie każdego poszukiwacza.

Wieść o nadzwyczajnym odkryciu rozeszła się w mgnieniu oka po całej okolicy w górę aż po Yukon, a w dół po Dawson.

A Cook właśnie od tego dnia przestał More'a odwiedzać.

Aż go Ewelyn musiała odszukać: — Mój ojciec będzie musiał odstąpić panu część jego praw — powiedziała do Cooka — to pan natchnął go nową nadzieją i zapałem do poszukiwań.

— Moich praw? — zdumiał się Cook — jakich praw?

— To pan pomógł przecież mojemu ojcu do tego bogactwa. To pan nakłonił go przecież do szukania żyły na swoim terenie. Mój ojciec postąpił niesłusznie przyjmując propozycję pana.

— Muszę wyprowadzić panią z błędu — odrzekł James Cook spokojnie. — Ojciec pani nie ma wobec mnie żadnych zobowiązań. Ja sam postąpiłem bowiem wobec niego jak człowiek niehonorowy. Bo kiedym mu wówczas radził, by tu pozostał i dalej szukał złota, miałem swój własny cel na oku. Nie miałem wówczas najmniejszego pojęcia o tym, że może się tu znajdować żyła złota i odkrycie jej przez ojca pani było dla mnie taką samą niespodzianką jak dla niego. Nie wierzyłem wcale, że może tu być złoto.

— Co w takim razie skłoniło pana do tej niemającej żadnych podstaw powodzenia propozycji?

— Chciałem panią tutaj zatrzymać — wyznał z wahaniem.

— Ach, chciał pan mnie tutaj zatrzymać!

Nastąpiło milczenie. Ewelyn opuściła głowę i zaczęła zastanawiać się nad znaczeniem jego słów. Chwilami delikatne jej nozdrza zaczynały drgać od hamowanego wzburzenia, to znowu usta jej łagodniały i leciutko się uśmiechały do myśli, które jak ptaki spłoszone przelatywały przez jej głowę. A James Cook stał przed nią i spoglądał na nią z miłością i z gry jej rysów odczytywał wyrok dla siebie.

Wreszcie Ewelyn zdecydowała się: — A jak długo zamierzał pan zatrzymać mnie tutaj, mister James Cook? — zapytała cichym głosem.

Mężczyzna wyczuł w tym głosie obietnicę szczęścia: — Na zawsze, Ewelyn, ale nie tutaj, tylko tam, gdzie ty zechcesz, tam gdzie piękniej i cieplej i gdzie ludzie nie szukają tyle złota. Gdybyś tam chciała ze mną pozostać na zawsze, powiedziałbym, że żaden poszukiwacz złota nie znalazł dotąd większego skarbu niż James Cook. Czy chcesz, Ewelyn?

A ona powiedziała poprostu „tak".

I w taki sposób, wśród pustyni śniegu i lodu znaleźli dwaj poszukiwacze złota swój największy skarb.

JERZY EGLICZ

SMUTEK

Z dalekich przestrzeni nieba sączył się liliowy wieczorny mrok, miękką osnową otulał, nasycone złotem drzewa, rozpylał odcienie atłasowe nad połaciami zoranych ugorów, potem wsiąkał w bezkres nadchodzącej nocy.

Było spokojnie i cicho...

Paweł siedział przy oknie pokoju i patrzał w głębiącą się ospałą ciszę. Z radiowego głośnika płynęły tony chopinowskiego mazurka — miękkie, szeptliwe, jasne.

— Pani Barbara... — głos speakera zaniknął w feedingu — wykona jeszcze jedną własną kompozycję pt. „SMUTEK".

I spadła melodia wibrująca, posuwista kryształowa, oplatała zwolna ciało i nerwy, wreszcie zaginęła w przestrzeniach ciemni.

Paweł słuchał.

Jakieś utajone uczucia, dziwne wrażenia poczęły kształtować się przed jego oczyma. Myśl uparta, jak działanie automatycznej maszyny, wiła się wokół pianistki.

Liliowe mgiełki akordów napełniały pokój czarownymi światłocieniami i Pawłowi zdawało się, że w dali widzi wąską długą dłoń grającą „SMUTEK". Czuł się jakoś nieswojo. Dawno zdławione marzenia minionych dni, rozpacz utraty, bezmiar pustki i bólu i to imię podobne do tamtej ubóstwianej.

Powieki zwolna opadły na oczy. W mózgu szalał zamęt, wir, ból... Potem szkarłatne płaty zasnuły wszystko.

Zaś wśród ciszy wieczoru drgała melodia SMUTKU.

Uniósł się z fotela, ciężkie powieki paliły ogniem, ale umysł działał jasno, skoncentrowanie, jedynie kolory układały się nieco chaotycznie, mgławo.

— — — — — — — — —

Malował... W obłędnym uniesieniu, w znoju tworzenia. Płynęły długie wytężone godziny, potem bezwładnie zwalił się na tapczan, zatapiając się w jakimś bezprzytomnym opętaniu.

Wizja tamtej jedynej raniła mu oczy, dręczyła nerwy, rozbijała bezwładem ciało.

I znów wstawał skoro świt skradał się do okien pracowni, by tworzyć.

Aż któregoś dnia skończył i niezwykły, przedziwny obraz przedstawiał się jego oczom.

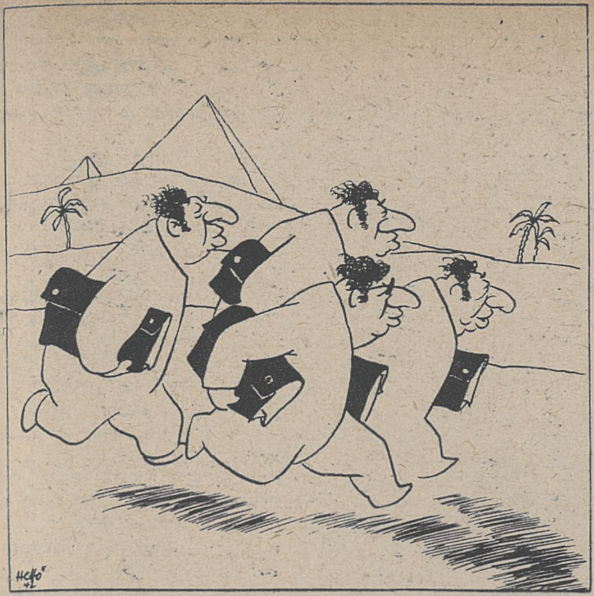
Na tle fiołkowej toni, roztapiającej się w nieogarnione przestrzenie — lśni bielą, klawiatura fortepianu. Nad nią jakieś, niby nieziemskich kształtów ręce — długie, blado liliowe, wąskie, zda się, snujące jakąś opowieść zaklętą o wzlotach dusz ludzkich, upadkach i walkach, zmaganiach i tragediach. Moc tajemna, sugestywna, potężna, biła z tych rąk, niby pęk kwiatów, rozkwitłych — świetlistych a mrocznych, blado różanych a liliowych, mogących dać ukojenie a drażniących do szału.

Zaś tam w górze w ogniu purpurowych płomieni, majaczył cień-widmo szatana, stającego na progu szczęścia, z wydartym złotym puharem w ręku.

Paweł jeszcze raz objął spojrzeniem swoje dzieło — pragnął je przejrzeć, zbadać, wysondować, ale paląca łuna jakby pożar straszliwy gorzała mu w mózgu.

Postąpił krok naprzód, jakgdyby chciał rzucić ostatni błysk źrenic i naraz bezwładny zwalił się na posadzkę pracowni.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



Drugie „wyjście" dzieci Izraela z Egiptu. Złota i srebra nie zapomniały one i tym razem zabrać ze sobą.

(Atlantic)

*

Sędzia do obwinionego: — Nie pojmuję, jak oskarżony mógł jednym uderzeniem pięści złamać szczękę temu biedakowi i wybić mu 6 zębów.

Oskarżony: — O, to bardzo łatwo. Mogę zaraz pokazać panu sędziemu.

*

— Dlaczego jesteś dziś taki przygnębiony?

— Et, kłopoty domowe.

— Cóż takiego?

— Mam młodą żonę i ta mi ciągle choruje.

— Mój drogi, moje położenie jest stokroć gorsze, ja mam starą żonę i ta jest ciągle zdrowa.

— Jutro chcę wyjść na szczyt tej góry. Jakie przygotowania muszę w tym celu przedsięwziąć, panie gospodarzu? — pyta się alpinista.

— Niech pan zapłaci swój rachunek z góry.

*

Mąż zirytowany do żony: — Co? Znowu nowa suknia?!

— Bądź spokojny — odpowiada żona — kupiłam ją za własne pieniądze.

— A skąd je wzięłaś?

— Zastawiłam twe zimowe palto.

*

Ojciec: — Ale czy potrafi pan zabezpieczyć należycie byt mojej córce?

Konkurent: — Pod słowem honoru otrzyma zaraz połowę z tego co nam pan da.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

— Człowiek to tak: im więcej ma, tym więcej pragnie.

— Głupiś, czyś ty miał kiedy bliźnięta?

*

Z lingwistyki: — Od czego pochodzi wyraz dług?

— Prawdopodobnie od tego, że się go długo nie zwraca.

*

— Proszę pana, kiedyż odbiorę należność za garnitur wizytowy?

— Och, nie może sobie pan wyobrazić, z jaką przyjemnością bym zapłacił.

— Czemuż więc pan nie płaci?

— Bo widzi pan, jestem w takim położeniu, że muszę sobie odmawiać każdej przyjemności.

*

On (z dumą) — Ja się nigdy na kobiety nie patrzę.

Ona (skromnie) — Prawdopodobnie odwdzięcza się im pan pięknym za nadobne.

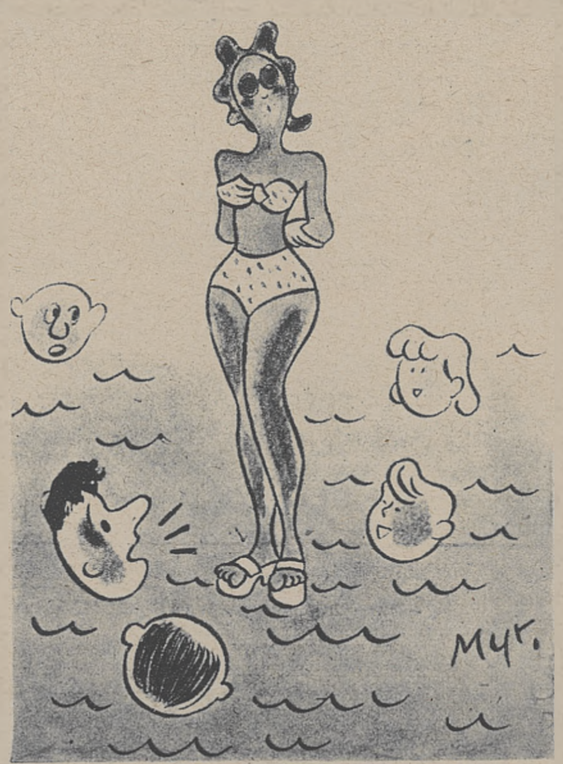
*

— Ile lat liczy pani córeczka?

— Osiem.

— I już tak pięknie gra na fortepianie?

— To owoc dziesięcioletniej pracy.



„Lucynko, zdejmij w końcu swoje drewniaki i wejdź do wody!"

(Reichsportblatt)

*

— Doprawdy, nie rozumiem cię — mówi mąż do żony — powiedziałaś mi, że wybierasz się popołudniu do l e k a r z a, a potem widziałem cię przypadkiem z jakimś panem w kawiarni.

— To był właśnie ten lekarz.

*

Sędzia: — Świadek słyszał cały przebieg kłótni między małżonkami; jakie w r a ż e n i e wyniósł świadek z niej?

Świadek: — Że się nigdy nie ożenię, panie sędzio.

*

— Żenisz się?

— Tak.

— Korzystnie?

— Czy korzystnie? Moja narzeczona jest ideałem gospodarności.

— Nie wierz kobietom, każda gospodarna kiedy jest panną, a przestaje nią być po ślubie.

— Ale ja mam dowody.

— Jakie?

— Przyszyła mi guzik do surduta w czasie, gdym się jej oświadczał.

Rozrywki umysłowe

KWADRATY UZUPEŁNIAJĄCE SIĘ

W wiersze poziome każdego z kwadratów należy wpisać słowa o następującym znaczeniu:

I kwadrat: 1. barwa w kartach, 2. miara ciężaru, 3. wielki pokój, 4. ciało lotne.

II kwadrat: 1. inaczej powróz, 2. miara długości, 3. duży ładunek materiału wybuchowego zakładany pod ziemię, 4. hrabia w języku niemieckim.

Połączone wiersze kwadratów I i II dadzą słowa o następującym znaczeniu:

1. imię żeńskie, 2. miara długości, 3. wyspa koło wybrzeży Grecji, 4. ustęp w ustawie, statucie.

DOWCIPNY PRZYJACIEL

Pewien docent filozofii zapytał listownie swego mieszkającego w tym samym mieście przyjaciela, kupca, czyby nie mógł mu pożyczyć 150 złotych, gdyż musi na kilka dni wyjechać, a wszystkie pieniądze zaoszczędzone wydał na kupienie encyklopedii, gdyż nie spodziewał się nagłego wyjazdu. Po otrzymaniu listu poszedł kupiec zaraz z wizytą do swego przyjaciela, by mu zanieść osobiście potrzebną sumę. Nie zastał go jednak w mieszkaniu. Ponieważ kupiec wiedział, że gospodyni docenta jest bardzo ciekawą osobą i nie chciał jej dać do ręki pieniędzy, prosił by mu pozwoliła wejść do pokoju przyjaciela i napisać do niego kilka słów na kartce papieru. Gospodyni wpuściła go do pokoju przyjaciela i zostawiła przez chwilę samego. Gdy kupiec napisawszy list opuścił mieszkanie, udała się gospodyni do pokoju swego lokatora i przeczytała list leżący na biurku. Rozczarowana przeczytała w nim co następuje: „Dowiedz się przez Trzaskę, że u Krasickiego wszystko jest w porządku, tak że już nic nie stoi twej podróży na przeszkodzie". Prędko włożyła list do koperty i położyła z powrotem na biurku. Wkrótce nadszedł docent, przeczytał list przyjaciela, znalazł pieniądze i zaczął się zaraz pakować. Gdzie ukrył kupiec pieniądze przed ciekawą gospodynią?

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 28

Gra cyfr

```
      9
    6 7 5
  3 1 2 8 4
```

Nie wszystko złoto co się świeci.

Logogryf

Dar — rad, belka — kabel, brama — ambra, raki — Ikar, karat — tarka, kara — arka, udar — ruda, Wołga — głowa, wiola — oliwa, zapas — pasza, masło — słoma.

Pasza, Ikar, oliwa, tarka, ruda, słoma, kabel, arka, rad, głowa, ambra: **Piotr Skarga.**

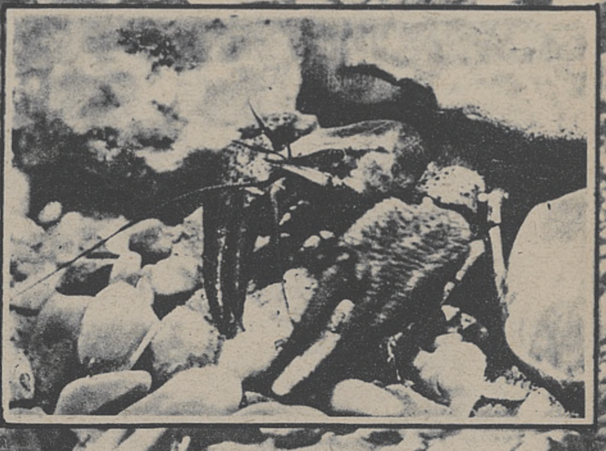
„RYBA CHWYCIŁA!"

Z WĘDKĄ NA PSTRĄGI PO CZARNYM DUNAJCU



W OBIEKTYWIE PODWODNEGO APARATU FOTOGRAFICZNEGO

Pozornie bez r u c h u czatuje p s t r ą g przed swoją kryjówką, wypatrując zdobyczy. Jego sąsiad rak (na prawo) przygląda się z uwagą tym czatom.



Dunajec jest może jedną z najpiękniejszych i najbardziej zarybionych rzek Gen. Gubernatorstwa. Szczególnie jego górny bieg jest ulubionym miejscem pstrągów strumieniowych o wspaniałych łuskach oraz zielono złotych lipieni. Ryby te dostarczają amatorom sportu wędkarskiego sposobności przeżycia miłych emocyj i wrażeń.

Możliwość zdobycia tych wrażeń trwa zresztą niedługo. Do pełnego lata spływają bowiem do Dunajca zimne wody topniejących w Tatrach lodowców a z nastaniem jesieni zabrania czas ochronny dla tych szlachetnych gatunków łowić



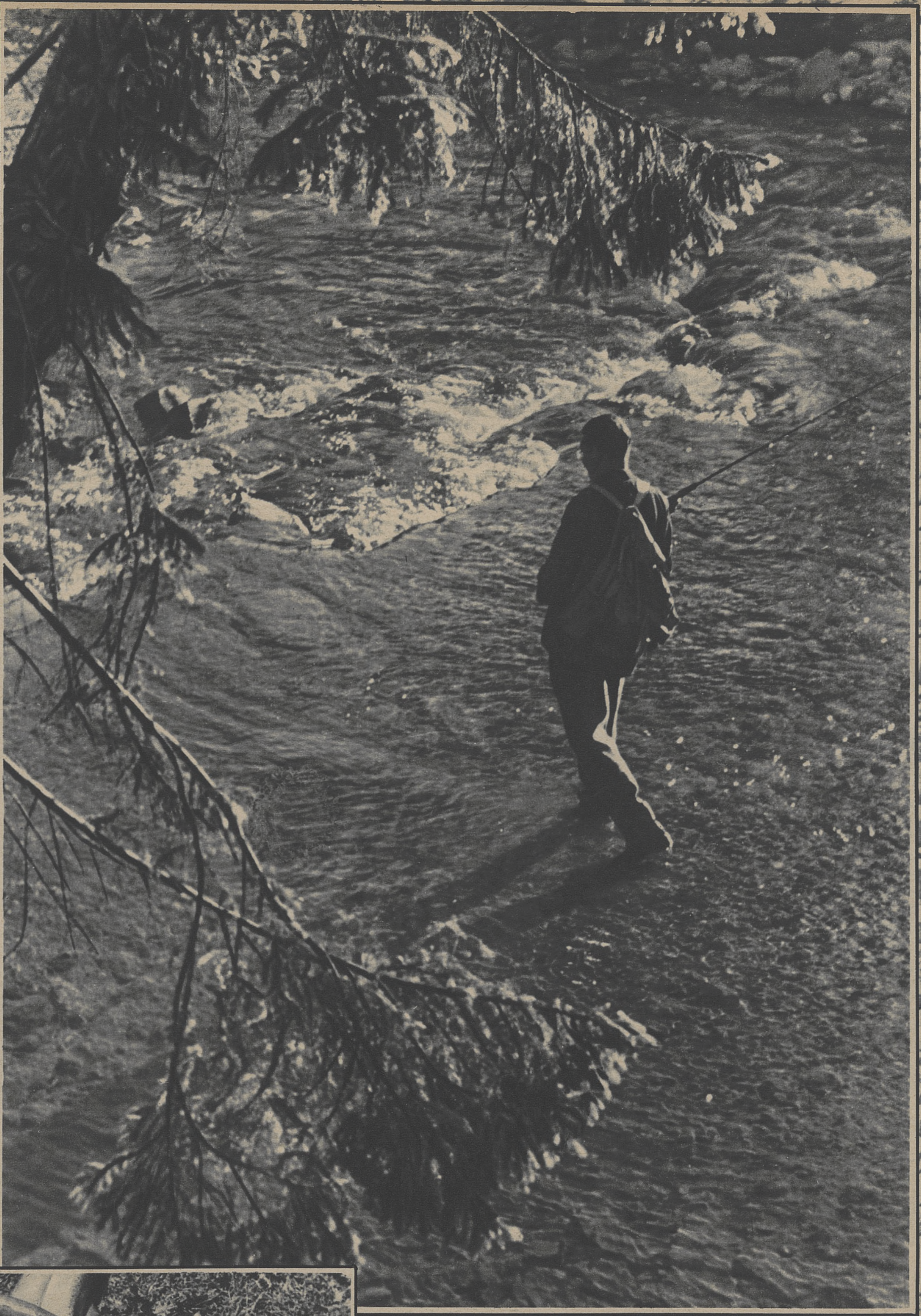
CZY TO MUSZKA SPADŁA NA WODĘ!

Pstrąg wysuwa się coraz bardziej ze s w e j k r y j ó w k i (powyżej). Poczem w jednej chwili wypływa na powierzchnię (na prawo), aby połknąć leżącą na wodzie muszkę.



W RAJU DLA AMATORÓW WĘDKI

Oto obrazek z Czarnego Dunajca w jego górnym biegu. Widzimy tu całą piękność naszych potoków górskich, w których amatorzy łowiący pstrągi, używać mogą do woli przyjemności tego sportu. W sięgających do pasa butach rybackich, stoi rybak na środku strumienia i z niegasnącym zapałem zarzuca raz po raz lekką wędkę z muszką na końcu, oczekując z napięciem każdej nowej zdobyczy. A kiedy pstrąg chwyci przynętę rozpoczyna się między rybą i człowiekiem walka o to, kto będzie górą. Rybak musi wytężyć nieraz całą swoją zręczność by zdobycz utrzymać, nierzadko bowiem pstrąg w ostatniej chwili jeszcze się uwolni.



ZDOBYCZ JEDNEJ GODZINY

Na brzegu ułożone leżą pstrągi (u góry) i lipienie... (z przodu) niby „pstrągi z wody" na półmisku. Zanim naprawdę przyjdą na półmisek, muszą jednak wrócić jeszcze raz do wody i... ugotować się.



je. Dlatego też trzeba pod tym względem wykorzystać w pełni tych niewiele dni prawdziwego lata, jakie mamy do dyspozycji. Nie należy przypuszczać, że łowienie ryb na wędkę w Czarnym Dunajcu jest czynnością łatwą, przy której wypoczywa się jak np. przy łowieniu ryb żyjących w wodach spokojnych. Nie można tu przede wszystkim użyć jako przynęty glisty, która pozwala rybakowi wystawać godzinami na jednym miejscu i która tu nie byłaby przynętą tak skuteczną jak tzw. muszka lub łyżeczka. Te dwie sztuczne przynęty wymagają jednak od rybaka, by bez przerwy nimi poruszał, gdyż nawet najbardziej żarłoczna ryba nie jest tak niemądra, żeby dwa nieruchome skrzydełka lub kawałek blaszki uważać za przysmak. Nie ma jednakże dla wędkarza piękniejszego widoku, niż gdy w miejscu mało przez ryby uczęszczanym ujrzy nagle pstrąga zbliżającego się do przynęty. Ruchem szybkim lecz pewnym musi wtedy rybak pociągnąć za wędkę, potem rozpoczyna się walka z rybą. Jeżeli nie postępuje się przytem ostrożnie, zostaje pstrąg zwycięzcą i często znika pod wodą zabierając ze sobą sznurek. Przez dłuższy czas unika on potem starannie wszelkich zasadzek, które rybak dla niego wymyśla.

Fot. Ufa, Błysk